
O kolonizacji, imperializmie i ewangelizacji

Evelyn Waugh, *Daleko stąd. Podróż afrykańska*, przeł. Barbara Kopeć-Umiastowska, Świat Książki, Warszawa 2012.

Evelyn Waugh, autor znakomitej powieści o grzesznikach i działaniu łaski, pt. *Znowu w Brideshead* (kiedyś dzieliłem się swoimi o niej uwagami w felietonie *Gorzka religia z Brideshead* [13.08.2011, christianitas.org], a więcej razy czynił to Paweł Milcarek w tekstach *'Brideshead revisited', czyli katolicka 'Identity'* [05.08.2015, christianitas.org], *Znowu o 'Znowu w Brideshead'* [06.08.2015, christianitas.org], *Brideshead betrayed* [02.11.2015, christianitas.org]), był pisarzem nie tylko zaangażowanym religijnie, ale także, w młodości, dość intensywnym podróżnikiem. Owocem tych podróży są książki relacjonujące przygody – w znacznej mierze towarzyskie – „ingliszmena” na afrykańskich i południowoamerykańskich wywczasach. Jedną z tych książek stosunkowo niedawno ukazała się po polsku. Chodzi o *Remote People* przetłumaczone jako... *Daleko stąd. Podróż afrykańska*. W Anglii reportaż ukazał się w roku 1931, a pretekstem do jej napisania, jak i podjęcia całej podróży, stała się koronacja cesarza Tafariego – Hajle Syllasjego I w 1930 roku. Waugh uczestniczył w tym wydarzeniu jako korespondent dziennika „The Times”. Jeśli chodzi o życiową sytuację samego pisa-

rza, była ona wówczas dość trudna, choć odniósł już pewien sukces, publikując powieść *Zmierzch i upadek*, to zmagał się z problemami osobistymi – rozstał się, po krótkim małżeństwie, z pierwszą żoną, a potem, co w Anglii także należałoby zaliczyć do kategorii kłopotów, konwertował na katolicyzm.

W opowieściach afrykańskich, które jednak pisane są głównie dla rozrywki czytelnika i skrzą się ironią, humorem oraz nieprzesadnym brytyjskim poczuciem wyższości nad oglądanym światem (z kolei podróż z Europejczykami do Abisynii przypomina nieco opis obcowania z ludźmi naznaczonymi nieznacznym szaleństwem), przetykane są ciekawymi dygresjami – także natury religijnej. Waugh, znany ze swoich reakcji w latach 60. w obronie tradycyjnej liturgii katolickiej, już na początku lat 30. dość trafnie punktował idealizujące wyobrażenia na temat kształtu pierwotnych obrzędów eucharystycznych Kościoła. Szczególnie ciekawe jest jego spostrzeżenie o wiszącym w powietrzu przekonaniu, jakoby ryt rzymski zaciemnił pierwotną prostotę Eucharystii, która niewiele miała się na początku różnić od towarzyskiego pikniku w niedzielne, słoneczne przedpołudnie spędzone na zielonej trawie. Poniższy fragment, wyjęty z *Remote People*, Waugh zanotował po doświadczeniu uczestnictwa w starożytnej koronacyjnej liturgii Kościoła Etiopskiego, a także wizycie w Debre Libanos – słynnym etiopskim monasterze. Nie jest on zupełnie wolny od anachronizmów, czego przykładem może być choćby wspomnie-

nie o rzekomych Mszach odprawianych w katakumbach, jednak bez wątpienia stanowi ciekawe świadectwo niezależności intelektualnej i duchowej pisarza.

„Myślę niekiedy, że to dziwne, iż zachodnie chrześcijaństwo jako jedna z wielkich religii świata ujawnia swoje tajemnice wszystkim ciekawym, tak jednak przywykłem do otwartości, że nigdy nie zadałem sobie pytania, czy stanowi ona niezbędną i naturalną cechę chrześcijańskiego systemu wiary. W istocie jesteśmy tak nią przeniknięci, że wielu ludzi postrzega rozwój Kościoła jako proces komplikacji, a nawet zaciemniania; wyobrażają sobie Kościół z pierwszego wieku naszej ery jako garstkę pobożnych osób wspólnie czytających Ewangelię, modlących się i wzajemnie pouczających się z prostotą, wobec której skomplikowane obrzędy i subtelne nauki lat późniejszych wyglądają na zdumiewające i nieznanome. W Debre Libanos nagle ujrzałem klasyczną bazylikę i otwarty ołtarz jako wielkie pozytywne osiągnięcie, świadomy triumf światła nad ciemnością, teologię zaś jako naukę upraszczania, dzięki której mgławicowe i ulotne idee ulegają formalizacji, stając się zrozumiałymi i ścisłymi. Ujrzałem Kościół z pierwszego wieku jako twór mroczny i tajemny – sekretny niczym nasienie dojrzewające w łonie; ujrzałem legionistów po służbie, chyłkiem wymykających się z koszar, witających się za pomocą znaków i haseł w ciasnej klitce na pięterku, w bocznej uliczce jakiegoś śródziemnomorskiego portu; i niewolników zakradających się o szarym świetle do zadymionych od świec kaplic w kata-

kumbach. Kapłani skrywali swoją posługę i zajmowali się rzemiosłem; ich tożsamość znali tylko wtajemniczeni; w świetle praw swego kraju byli przestępcami. Czyste jądro prawdy tkwiło w umysłach ludzi dźwigających brzemień przesądów, ordynarnych przeżytków pogaństwa, w którym zostali wychowani, wśród mglistych, nieprzyzwoitych bzdur przenikających z ezoterycznych kultów Bliskiego Wschodu, magicznej zarazy podbitych barbarzyńców. I zobaczyłem, jak mroczne sanktuaria przerodziły się dzięki jasnemu rozumowi w wielkie otwarte ołtarze katolickiej Europy, gdzie Msze odprawia się w powodzi światła, wysoko na oczach wszystkich, podczas gdy turyści drepczą w krąg z bedekerami, nieciekawo tajemnicy”.

Interesujące jest, czy Evelyn Waugh zdał sobie sprawę, że „otwarte ołtarze” krok tylko dzieli od destrukcji rytuału, będącego podstawą życia społeczności, także społeczności katolickiej. Wspomina o tym w tej samej książce, o czym napiszę za chwilę. Jak widać, spotkanie „mitologii pierwszych wieków Kościoła” z tendencją do upraszczania zaprowadziły Kościół po Soborze do miejsca w rozumieniu Mszy, które pisarza, u schyłku życia, doprowadziło do depresji. Być może granicą zmian w samym Kościele był zanik teologii pojmowanej jako rozumna służba Boża. Rozumność zaś to w istocie tradycja. Tę zaś zastąpiono dwoma prostymi zmiennymi – fałszywym mitem i dyrektywą prostoty. Teologia nie uznaje jednak dróg na skróty, dochodzi się dzięki nim zawsze gdzie indziej, niż się zmierzało. Waugh nie mógł

tego wiedzieć, przemierzając bezdroża Abisynii.

Jak wspominałem, materiały do *Remote People* Evelyn Waugh zbierał, będąc w szczególnym okresie swojego życia – niedawno konwertował na katolicyzm, a także rozstał się ze swoją pierwszą żoną. Miał wtedy też prawie 30 lat. Fragmenty, które poniżej chcę przytoczyć, choć zajmują niespełna dwie strony w polskim wydaniu książki, wydają się być swoistym alibi wobec sytuacji biograficzno-politycznej, w jakiej postawiło Waugh zostanie – przynajmniej na jakiś czas – brytyjskim pisarzem-podróżnikiem. Tę sytuację trafnie scharakteryzowała w *Posłowie* tłumaczka *Daleko stąd*, Barbara Kopeć-Umiastowska.

„Angielska książka podróżnicza zawsze była związana z kolonialną polityką Korony – lojalni słudzy imperium rozjeżdżali się do egzotycznych zakątków świata, wyposażeni w grube notatniki oraz przekonanie o swym powołaniu do rządzenia światem. Na wzór troskliwych właścicieli ziemskich docierali do najdalszych krańców swych włości, aby sprawdzić, jak się mają ich poddani, a także czy nie dałoby się poszerzyć stanu posiadania – po czym sporządzali stosowny opis. A ponieważ podróż dla rozrywki przez wiele lat była dostępna tylko dla ludzi zamożnych, reportaże często miały postać dziennika z wakacji lub zapisków uczonego, gdzie podróżnik – zazwyczaj płeć męskiej – notował uwagi o dziwnych klimatach i osobliwych zwyczajach napotkanych po drodze tubylców. Ktoś nawet powiedział, że budowa imperium była dla angielskich klas panujących

wspaniałym sposobem wyładowania energii na świeżym powietrzu”.

W jakiejś mierze opis ten przystawał także do podróży Evelyn Waugh, który choć wybierał się do Afryki na koronację cesarza Etiopii jako korespondent jednej z gazet, to jednak bez wątplenia reprezentował brytyjską klasę średnią z jej postawami i nawykami. To, co pozostaje po lekturze *Remote People*, to wspomnienie nieustannych zmagania pisarza z nudą i przekonaniem, że kolejne miejsca, rzeczy czy obiekty, jakie ogląda, są zwyczajnie nieinteresujące.

W tym, banalnym w sumie, kontekście brytyjskiego gentlemana na czasach interesujące wydają się zdecydowanie krytyczne uwagi Waugh o europejskim kolonializmie – nowoczesne z perspektywy analizy socjologicznej. Jednak jeszcze ciekawsza wydaje się próba zrozumienia powiązania problematyki kolonializmu i religii – jak się zdaje, do dziś splot tych historycznych zależności nie funkcjonuje bez kontrowersji.

„Antyimperialistyczna interpretacja dziejów upatruje w misjonarzach formę pocztę penetracji handlowej. Dla romantyków z upodobaniem do kolorytu lokalnego to smutasy, które kazały odziać się nagości, a zamiast pięknych rzeźb tubylców wszędzie porozstawiały gipsowe statuetki Najświętszego Serca. Poważniejsi socjologowie utrzymują, że wskutek zakazu ceremonii inicjacyjnych ulega erozji integralność plemienia i co za tym idzie, cała tradycyjna struktura sprawiedliwości i moralności”.

W tym krótkim akapicie Waugh streszcza – występującą do dziś – krytykę kolonializmu jako ekspansji chrystianizmu. Ciekawe jest, że w wątku tym szczególnie podkreśla się negatywne zasługi religii – tak jakby owa ekspansywna cywilizacja europejska doby nowożytnej, a szczególnie XIX wieku, była szczególną reprezentacją *christianitas*. Równocześnie w samej Europie w wieku XX, ale i XIX trwa przecież proces chirurgicznego wycinania tkanki religijnej z głównego nurtu cywilizacyjnego i podkreślania niezależności tej kultury od chrześcijaństwa. Czy jest w tym jakiś rodzaj sprzeczności? Z perspektywy wyznawców takiej optyki – niekoniecznie. Ponieważ w obu przypadkach jako źródło cywilizacyjnego niepowodzenia jest oznaczona religia, w szczególności katolicyzm. Dzisiejszy silny nurt samokrytyki w cywilizacji zachodniej łączy ze sobą dwa fantazmaty: schyłek kultury nowoczesnej – opisywanej jako zasadniczo chrześcijańska – i zakończenie epoki kolonizacji. Uwolnienie się od chrześcijaństwa miałoby być równoczesnym wyzwoleniem geopolitycznym. Ktoś mógłby zadać pytanie, dlaczego nazywam fantazmatami to, co należałoby określić mianem zwyczajnych faktów. Historia idei uczy jednak podejrzliwości wobec „zwyczajnych faktów” i ta sama podejrzliwość każe stwierdzić, że ani nowoczesność nie jest „zasadniczo chrześcijańska”, ani epoka kolonizacji wcale się nie skończyła, ale przeszła w zupełnie inną fazę, w której, przynajmniej częściowo, można się już nie przejmować jurysdykcjami państwowymi – szczegól-

nie państw słabych – dlatego pozwalamy istnieć pozorom suwerenności. Być może w ogóle należałoby zaproponować jakąś nową periodyzację dziejów zamiast triady starożytność-średniowiecze-nowożytność/nowoczesność, w której ostatnie pięćset lat trzeba by określić mianem długiego trwania jesieni średniowiecza – zmagania chrześcijaństwa i ideologii nowoczesnej, a przełom dzisiejszych czasów nazwać, zgodnie z jego charakterem, epoką emancypacji od nadprzyrodzoneści.

Wróćmy jednak do refleksji Evelyną Waugh, który, jak się zdaje, dobrze rozumiał fałsz pewnych ujęć brytyjskości i europejskości. W poniżej cytowanym fragmencie, przyjmując krytykę socjologiczną, wychodzi on od radykalnego napięcia pomiędzy zbawieniem i kulturą, jakie musi wyniknąć z antyimperializmu o duchu antyreligijnym, by przejść do niespodziewanej afirmacji chrześcijańskiej obecności w Afryce, afirmacji nie w sensie „idealistycznym”, nieskalanym, ale właśnie płodnym i zbawiennym, dlatego że wyrosłym na glebie niechętniej jego rodzeniu się.

„Oczywiście, z teologicznego punktu widzenia nie ma wątpliwości: każda duszyczka ochrzczona, wychowana w wierze, utwierdzana przez sakramenty w chrześcijańskim stylu życia – to czyste dobro, bez względu na to, czy zamieszkuje ciało czarne, czy białe. Ponadto ponieważ wzrost jest miarą życia, nie jest możliwe, by wiara się nie rozprzestrzeniała – ekspansja jest organicznie nierozłączna z jej istnieniem. Lecz we współczesnych kontrowersjach argumenty teologiczne są mało skutecz-

ne. Wydaje mi się, że można to przypisać powszechnemu sceptycyzmowi, z jakim przyjmuje się szerzenie kultury Zachodu; gdyby bowiem udało się uchronić Afrykę od jakiegokolwiek penetracji z zewnątrz, europejskiej, arabskiej czy hinduskiej, gdyby tutejsza ludność mogła żyć w niezłomnej ignorancji, tworząc od korzeni własną wiarę oraz instytucje, to wówczas, wiedząc, jak spapraliśmy robotę w Europie i jak ogromne zło towarzyszy każdemu dobru, które zdołaliśmy osiągnąć, mogliśmy uznać, że próba nawracania Afryki, kiedy są jeszcze poganie w Europie, była rzeczą szkodliwą. Jednakże jest całkiem pewne, że w dobie optymistycznej ekspansji poprzedniego stulecia Afryki nie zostawiono by w spokoju. Nieważne, czy by tego chciała – trafiłyby tam najgorsze śmieci naszego kontynentu: mechanizacja transportu, rządy przedstawicielskie, organizacja pracy, sztucznie pobudzany apetyt na różnorodność ubrań, jedzenia i rozrywki – wszystko to czyhało na Afrykanów tuż za rogiem. Europa ma tylko jedną dobrą rzecz, którą może komukolwiek zaproponować, i tę przynieśli misjonarze”.

Jest jeszcze jedna sprawa warta uwagi czytelnika. Wydaje się, że Waugh przez całe życie pozostawał pod wpływem owych „socjologów”, o których wspominał w pierwszym przywołanym fragmencie. Szczególnie dotyczy to przekonania, że „wskutek zakazu ceremonii inicjacyjnych ulega erozji integralność plemienia”. Można w tym zdaniu prawdopodobnie odnaleźć element pozwalający zbliżyć się do zrozumienia, późniejszego o wiele lat, gwałtownego

sprzeciwu Evelyn Waugh wobec porzucania przez Kościół starodawnych form liturgii. I erozji, jakiej, wedle jego obawy, miała ulec integralność Kościoła.

Na sam koniec swoich wspomnień z podróży Waugh jeszcze raz, w pewien sposób, dystansuje się wobec roli, jaka przypadała zwykle autorom zapisków z podróży po imperium. Dając czytelnikowi niewielki obrazek z karczemnego londyńskiego życia towarzyskiego, pyta się nas wprost: „Po co jeździć za granicę? Najpierw obejrzymy sobie Anglię”. Uwagę tę można zrozumieć na kilka sposobów. Po pierwsze, być może podróże wcale nie kształcą, po drugie, że nie ma specjalnego powodu, by być dumnym z własnej brytyjskości, a po trzecie, że tego, co o człowieku warto wiedzieć, możemy nauczyć się wśród swoich, bo ostatecznie natura ludzka jest wszędzie taka sama. ▣

Tomasz Rowiński

„Mój mały mszalik”, czyli wprowadzenie dzieci do uczestnictwa w Mszy świętej w formie nadzwyczajnej

Katarzyna Robaczewska, *Mój mały mszalik*.

*Krótkie objaśnienie obrzędów Mszy Świętej
wraz z katechizmem i modlitwami*, Centrum
Kultury i Tradycji „Wiedeń 1683”, Lublin

2015, s. 55.

Jako rodzic pięciorga dzieci, starający się odkrywać wraz z całą rodziną bogac-